



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebena i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA

Jak kwiat zerwany trwała krótko wystawa w Pomarańczarni, a i ślady jej, i woń zwietrzały już do dzisiaj; pogoda nie była łaskawą dla tego popisu Flory i Pomony, wystawców bardzo mało udział przyjęło; mimo to około 8,000 osób zwróciło uwagę na wystawę w ciągu dni czterech a pod względem ilości i jakości okazów ta pierwszy sezonowy popis kwiatów i owoców, urządzony przez Towarzystwo ogrodnicze mogłaby się nazwać nawet pomyślnym, jeśli się uwzględni i porę, i warunki, w jakich go przedsięwzięto.

Róże królowały wśród wszystkich poddanych Flory; owoce tylko nie dopisały, ale to było do przewidzenia w czasie, w którym pierwsze powołanie Pomony wyginęło, a drugie jeszcze nie dojrzało do walki na ostre z zębami frukto-jadów.

Powiedziałem, że wystawców na liczbę mało udział przyjęło w wystawie, bardzo mało, bo tylko znane, pierwszorzędne firmy stanęły do apelu, i to te, które nie potrzebują nawet konkursu, aby się wyróżniły.

Myslałem, iż znaję tu wypieszczone okazy z prywatnych oranżeryi, a choćby z gerydonów salonowych, a niechby doniczki tylko z okienek panien i emerytów, podlewane codziennie jak najgorliwiej, obracane do słońca, i skrapiane wodą; myślałem, że w tych kwiatach bez pretensyi do wysokiej hodowli znaję ciekawy materiał do studyów, a tu nic.

Z prywatnych wystawców, jakby się ludzie zmówili ignorować ten popis publiczny; prawie nikt się nie zgłosił. Nie wiem, czemu to przypisać.

O ile mi się zdaje, zamiłowania do kwiatów u nas nie brak, w oknach i na balkonach widuje dosyć zieleni, kobiety zdobią się jeszcze chętnie świeżymi kwiatami, a panny, choć coraz rzadziej słuchają, jak „w ogródku skowronek z piosenką podleci, upadnie,“ do kwiatków wschodzących z zielonych obsłonek mają przecież szczególną słabość.

Więc dlaczego na wystawie nie było śladów tej prywatnej hodowli, tego ogrodnictwa salonowego, domowego, któreby o zamiłowaniu do botaniki barwistej i woniącej świadczyło?...

Dlatego zapewne, że my sobie zawsze jeszcze zanadto lekceważymy pewne drobne objawy publicznej solidarności i konkurencyi.

Zagranicą, w Niemczech, we Francyi przy takiej okazji jednostki spieszą na wycigi, by tylko żywszy ruch i emulacją rozbudzić, aby „poczucie się w gromadzie,“ a przy tem zadowolić swą osobistą ambycją.

My sobie lekceważymy takie drobnostki; u nas kto nie może wystawić cedru z Libanu, albo palmy, albo kwitnącego lotosu, ananasów lub granatów, to już z niczem mniejszem nie chce wystąpić, jakby mu wstyd było dowodów zamiłowania i troskliwości w ciasniejszych granicach.

Niema się czego wstydzic: każda najdrobniejsza zasługa w ogólnym bilansie ma swoją rubrykę i znaczenie.

Nie wymagałbym, abyśmy naśladowali Holandczyków z manją wyhodowania czarnego tulipanu, ale pragnąłbym, aby usiłowania Towarzystwa ogrodniczego w celu rozbudzenia zamiłowania do hodowli kwiatów u nas i podniesienia ogrodnictwa znalazły większe niż dotąd poparcie, i mam nadzieję, że na przyszłej wystawie sezonowej ślady tego pożądanego wpływu będą widoczniejsze.

Poza konkursem wystąpiło kilku wystawców

ze specjalnością, którą znam dobrze z wieloletnich doświadczeń w gościnnym domu naszego jubilata wśród księgarzy i nakładców, p. Gustawa Gebethnera; mówię o nalewkach i przeróżnych winach owocowych, z których piwniczka jego słynie w Warszawie.

Przedziwne to smaki bywają w tych balonówkach, malinówkach, berberysówkach, oranżówkach i wszelakich napojach, jakimi rozkoszują się nawet wytrawni znawcy Bachusowego nektaru.

U nas, gdzie nieba poskąpiły winnie i kazały zalewać robaka sokiem obcych gron, pod łaskawszym słońcem dojrzałych, zwyczajne krajowe owoce mogłyby dostarczyć w przybliżeniu coś równie dobrego, a tańszego owiele od Sauterne'ów i tokajów, sprowadzanych z zagranicy.

Próba, jakiej dziś dokonywa prywatne amatorsztwo, po winnaby zachęcić do przedsiębiorstwa na większe rozmiary; możeby to się przyczyniło do rozpowszechnienia zdrowszych niezaprzeczenie trunków owocowych od piwa podejrzanej dobroci, jakim średnia klasa zalewa się po bawaryach miejskich i karczmach na wsi.

Ojcowie nasi pijali sycone w domu miodu i mieli więcej zdrowia, fantazyi, animuszu i rumieńców przy pełnych konwiach napoju własnej roboty, niż ich prawnuki dzisiejsze przy perlącym się szampanie w kieliszkach kryształowych.

Ach, gdyby to tylko miód słodził życie ludzkie, mogliśmy z uśmiechem patrzeć w blizkie jutro, bo oto niebawem powstać ma w Warszawie fabryka sorbetów przyrządzanych na sposób wschodni.

Warszawa lubi słodczyce, dowodem tego ogromna stosunkowo ilość cukierni, przybywających z każdym rokiem i nowy zawód „lodowników,“ roznoszących podczas letnich upałów słodkie ochłody po ulicach i domach.

Z wystawą kwiatów skończył się programmat

publicznych popisów i martwy sezon w całej pełni się rozwinał.

Całą pociechą związającego Warszawianina jest cyrk, gdy go zajmują konie i niedźwiedzie tresowane, albo ogródki i teatr, jeżeli jest miłośnikiem sztuki w szlachetniejszym stylu.

Główna scena istnieje obecnie samemi zastępstwami, z wyjątkiem niezastąpionego nigdy i nikim Żółkowskiego.

Kto jakikolwiek miał tylko pozór do urlopu, wyzyskał go i opuścił szranki Melpomeny, tak skutkiem tego przerezerwowane, że litość bierze patrzeć na reżyssera — nie, na zastępcę reżyssera, p. Leszczyńskiego, sztukującego repertuar z samych kawalków.

W operze była chwila, gdy w braku jednego z czterech dyrektorów, „Giocondą“ kierować musiał pierwszy skrzypek orkiestry naszej, p. Barcewicz.

W komedii debiutanci grywają, opery goście śpiewają i gdyby włoski tenor ochrypl przypadkiem (co się zresztą często u nas zdarza obcym śpiewakom) a p. Dowiakowska wzorem innych primadon chciała kapryścić, nastalby krach operowy.

Sezon martwy obfituje w ogórki i debiuty, które najczęściej mają w sobie coś niedojrzałego i także kwaśny przysmak zostawiają w pamięci.

Nikt chyba więcej ode mnie nie uznaje potrzeby zabezpieczenia scenie przyszłości artystycznej nowymi siłami i uzupełnienia personelu wczesnymi nabytkami, które się podksztalcić, wzwinąć, zestroić z całością i żyć ze sceną powinny, ale niestety — wśród tych dzisiejszych adeptów i adeptek sztuki wybór byłby nie łatwy.

Ci nowicyusze, którym się zdaje, że mają talent i warunki, że potrzebują stanąć tylko przed publicznością, aby się z nich wyłonili nowi Królikowscy, Rapaccy, Rychterzy, etc. etc. myślą się okropnie.

Wszystkim chodzi o zaczepienie się choćby jednym palcem o scenę, i ta chęć mnie nie dziwi; ale scena nasza w dzisiejszych warunkach nie może obciążać się nawet obiecującym balastem: jej potrzeba sił trochę już wyrobionych, zdolności wybitniejszych, nabytków pożytecznych odrazu.

Takich nabytków nie przedstawiają debiutanci tegorocznicy, a zwłaszcza debiutantki, bardzo liczne i zaufane w siebie, oile ze śmiałego wyboru ról na próbę talentu wnioskować mogą.

Oprócz panny Maryi Sznage, nadającej się z warunków talentu i nader ujmującej powierzchowności do rodzaju „naiwnych“, których brak coraz większy się z latami okazuje na scenie warszawskiej, nikogo ani pochwalić szczerze, ani sumiennie zalecić niepodobna.

Dyrekcja i reżysserya za pobłażliwie, za łaskawie tym razem przyznawały prawo debiutów, w nadziei, że coś z tego na pożytek sceny wyjdzie; rok był obfity, ale nie plenny w talencie.

Potrzeba szkoły dramatycznej znowu się przypomnieć, jako jeden z najlepszych środków utworzenia stałego roszadnika przyszłych artystów i artystek; doświadczenia okazały, że jednak co tylko lepsze i pożyteczniejsze weszło w ostatnich czasach na scenę, to przeszło poprzednio przez szkołę, nieodpowiadającą w zupełności swojemu zadaniu, warunkom i potrzebom, ale bądźco bądź szlifującą zgrubsza przynajmniej materiały.

Dzisiaj, wobec słusznych i usprawiedliwionych zamiarów uzupełnienia personelu dwóch naszych scen stałych nowymi siłami, należałoby, nie wśród debiutantów, ale na scenach ogródkowych wybrać co lepsze jednostki i zanim zdziczeją w prowincjonalnej manierze, przesiedlić je na żyźniejszy i trwalszy grunt poważnej sztuki.

Może kapitule naszej Melpomeny nie wypada, w jej pojęciu, występować pierwszej z tą propozycją do laików ogródkowych; ale żadnej powadze to nie ubliża, gdy dla dobra instytucji godzi się na pewne ustępstwa od zwyczaju.

„Nie wypada“, — te dwa wyrazy przypomniły mi ostatnią nowość teatrzykowego repertoaru,

pod takim bowiem obiecującym tytułem poznałem w zeszłym tygodniu pięcioaktową komedią nowej spółki autorskiej pp. Michała Wołowskiego i Józefa Kotarbińskiego.

Przedewszystkiem muszę wyrazić zdziwienie nad tem, że teatr nasz sztuki tej przyjąć nie chciał; dlaczego?... pod względem scenicznym przeszła próbę ogniową i to w nie najprzychylniejszych dla siebie warunkach, bo na deskach sceny ogródkowej, otwartej na wszystkie strony, wobec publiczności bardzo mieszanej, w obsadzie przyzwoitej, ale nie pierwszorzędnej.

Pod względem swojego założenia i tendencji otrzymała przy wszystkich zarzutach, uznanie żywotności i dobrego pomysłu ze strony krytyki.

Nie wchodząc w domysły, twierdzą, że ze względu na oryginalność utworu i na sceniczne jego zalety, należało przyjąć do tegosamego repertoaru komedią p.p. Wołowskiego i Kotarbińskiego, w którym tyle gorszych, nawet pod względem drażliwości tematu, sztuk swojskich i obcych miejsce znalazło.

„Nie wypada“ to hasło większości, która uświęciła przesąd społeczny, moralny i towarzyski, poddała się bezwzględnie niewolnictwu konwensów i zgodziła z bardzo wielu ustępstwami na korzyść fałszu, bezprawia, hypokryzji i niemoralności.

Znaczenie takiego hasła, jego wpływy i skutki w życiu prywatnym i publicznym usiłovali autorowie przedstawić w swojej komedii, przesiąkłej nawskroś tendencją postępową i demokratyczną.

Gdyby nie zbyt krańcowe traktowanie przedmiotu i jednostronność poglądu na moralno-społeczne stosunki nasze, gdyby nie zbytek cieni i ciemnych barw, które autorowie zamazali dla większego kontrastu jedną stronę swojego obrazu, by wydobyć silniejszy efekt w figurach dwóch swoich bohaterów z obozu postępowo-demokratycznego, gdyby wreszcie pod względem architektury sceniczej więcej ożywienia akcji w drugiej połowie sztuki — „Nie wypada“ byłoby komedią rzadkich zalet i bardzo szczęśliwą próbą talentu obu autorów.

Wśród naszej pospolitości lub bezbarwności utworów nowszej daty, wśród których umyślną a sztuczną jaskrawością nadają sobie sensacyjnego rozgłosu pewne fabrykaty sceniczne, noszące więcej cech sprytu, niż talentu, sztuka p.p. Wołowskiego i Kotarbińskiego wyróżnia się oryginalnością pomysłu, śmiałością przekonań szczerze choć za krzykliwie wyrażanych i kwestyją na prawdę z życia wziętą, ale nie *ad hoc* urobioną dla uciechy gawiedzi.

Trochę mniej frazeologii i pesymizmu, więcej sprawiedliwszej miary, lepszej ekonomii efektów i rozkładu akcji, a przyszły utwór nowej spółki natrafił zapewne na opozycyą stronnictwa, do którego autorowie nie należą, ale zyska nierównie większe powodzenie i uznanie krytyki.

Miłą owacyą, pełną zachęty sprawiła autorom młodzież na czwartym przedstawieniu, ofiarowując im bukiet ze stosownym napisem.

Aby nie wychodzić z dziedziny spraw literackich, wspomnieć muszę o rezultacie plebiscytu konkursowego pomiędzy prenumeratorem „Tygodnika ilustrowanego“; ogromną większością głosów, prawie połową na półtrzecia tysiąca głosujących przyznano nagrodę poematowi „Do granicy“, którego autorką okazała się p. Marya Konopnicka.

Przyznam się teraz, że miałem lekkie przecucia, co do tego, jak również podejrzewam bardzo blizkie pokrewieństwo natchnienia i talentu pomiędzy nagrodzonym poematem a drugim, p. t. „Z teki Grotgera“, tak samo wyróżnionym na konkursie.

Temu ostatniemu serce i mój zmysł krytyczny, jeżeli mam jaki, przyznają wszelako pierwszeństwo nad uwieńczonym współzawodnikiem. Prostoty, natchnienia, poczucia natury, przejęcia się tematem więcej w tej poetycznej ilustracji Grotgerowskiego arcydzieła...

Szumi w nim jakiś tajemniczy odgłos borów,

snują się jakby fantastyczne widma z mgły o poranku jesienia, na tle krajobrazu, ta kurna chałta wiejska, ta para małżonków w puszczy, cała scenerya icała akcyą; mają tyle poetyckiego technienia w treści a artyzmu w formie, że mi ten poemat dźwięczy ciąglem echem w duszy i nie ręczę, czy go wkrótce na pamięć się nie wyuczę.

Nietylko ze względu na rezultat literacki, ale ze względu także na rozbudzenie takiego ruchu i zajęcia w szerszych kołach czytelników konkurs „Tygodnika ilustrowanego“ okazał się bardzo szczęśliwym pomysłem; nie poprzestawano na samem złożeniu głosu, opatrywano go dopiskami, argumentacją, rozumowaniem, a wszystko to świadczyło tylko, jak poważnie przejęła się publiczność rolą sędziego i krytyka na forum konkursowym.

Redakcja otrzymała w ciągu dwóch tygodni półtrzecia tysiąca listów z najdalszych nawet krańców Europy; to objaw pocieszający i przyjemny nietylko dla samego pisma, a zdaje się on przeczyć temu głoszonemu zolojętnieniu dla poezji w naszych czasach, tej apatyczności względem literatury swojskiej. Więc czytamy, odczuwamy, troszczymy się jeszcze prawdziwym pięknem, prawdziwym natchnieniem, rzeczywisty talent trafia nam do serca i duszy — jakżeż nie cieszyć się z tego i nie radować!...

Za kilka tygodni ukończonym zostanie druk trzeciej i ostatniej konkursowej nowelli w Tygodniku; po „Kubie Trojaku“ i „Odmieńcu“ poznamy tę „Wydaloną“, o ile przypuszczać mogę zbliżoną tematem do utworu Konopnickiej, a napisaną zapewne pod wrażeniem chwili, mającą przeto aktualne znaczenie.

Radbym bardzo, aby tym razem odsłonił się laureat młody i nieznan, nowozaciągnięty w szeregach literackich; ubywają nam bowiem najcenniejsi, a na ich miejsce brak godnych następców.

Oto ze Lwowa przyszła żałobna wiadomość o śmierci znakomitego humorysty naszego s. p. Jana Lama, najdowcipniejszego ze współczesnych naszych pisarzy, który sam dla siebie na grób taki niegdyś napis ułożył:

Ci git — l'homme qui rit,
Ou plutôt ici dort,
L'homme qui rit
Quoique mort.

Długa, uciążliwa choroba sercowa, od kilku lat przykuwała go do łoża cierpienia i boleści; nadzwyczajna troskliwość istnych aniołów opiekuńczych w rodzinie i wysiłki sztuki lekarskiej podtrzymywały gasnący płomyk życia w schorzałym ciełe.

Duch wszelako trzymał się do ostatniej chwili dzielnie, krzepko, mężnie; niechybną śmiercią zagrożony, której, co prawda, nie przypuszczał, łudząc się co do swojej choroby, znakomity autor „Kronik niedzielnych“ pracował do zgonu. — W przeddzień śmierci dyktował jeszcze kronikę do „Dziennika polskiego“, którego od siedemnastu lat był najcenniejszym współpracownikiem.

Żywy, ruchliwy, wrażliwy umysł, szeroko wykształcony a zdumiewająco obdarzony pamięcią, zajmował się wszystkim: co się działo w Europie.

Lam był humorystą z Bożej łaski, najbardziej ciętym, najzłośliwszym, gdy trzeba było, człowiekiem szczerego choć często zgryźliwego śmiechu, ale, jak bohater Wiktora Hugo, nieszczęsny Gwynplaine, pod tym wiecznym uśmiechem na ustach, miał serce czujące głęboko, bolejące, targane nieraz najszlachetniejszymi i najsmutniejszymi uczuciami.

On więcej, niż ktokolwiek miał prawo za Słowackim powtórzyć: „Chociaż mi serce pęka, śmiech mnie bierze“...

Pięćdziesięciu lat jeszcze nie zaczął, a prawie ćwierć wieku literackiej i publicystycznej pracy miał za sobą; urodzony z ojca Niemca, a z matki Polki, przyrósł do macierzyńskiej ziemi, krew,

życie, talent, pracę dla niej poświęcając nieustannie.

Piszę wspomnienie pośmiertne pod pierwszym bolesnym wrażeniem, nie studium o autorze, który swoją osobną kartę ma w historii naszej literatury; nie chodzi mi o ocenę talentu i rozbiór twórczości jego w dziedzinie humorystyki i powieściopisarstwa, wiem tylko i czuję w tej chwili, żeśmy ponieśli stratę niepowetowaną w pisarzu i człowieku, jakich nie wielu dałoby się wyliczyć pomiędzy pozostałymi.

O autorze „Panny Emili“, „Idealistów“, „Głów do pozłoty“, „Dziwnych karyer“, powieć kto inny na właściwszym miejscu o humorystyce, który ostro niekiedy ganił separatystyczne dążenia Rusinów galicyjskich; pierwsi niemal z kondolencją i pomocą materyjalną dla rodziny zmarłego pospieszyli redaktorowie lwowskiego „Słowa“, „Prołomu“ i „Miru.“

Piękny, wzruszający objaw uznania dały dzienniki rusińskie we Lwowie, zamieszczając bardzo sympatyczne nekrologi o humorystyce, który ostro niekiedy ganił separatystyczne dążenia Rusinów galicyjskich; pierwsi niemal z kondolencją i pomocą materyjalną dla rodziny zmarłego pospieszyli redaktorowie lwowskiego „Słowa“, „Prołomu“ i „Miru.“

Niestety, pomoc ta okazuje się, jak zwykle u grobu polskiego literata, potrzebną i konieczną. Lam nie pozostawił żadnego majątku, żadnej spuścizny, oprócz sławy i dzieł swoich, których zbiorowa edycja niedawno wyszła nakładem samego autora, a która według jego własnych obliczeń opłaciła mu zaledwie kosztą druku i papieru.

Przypominam ją teraz czytelnikom; obowiązek nakazuje rozebrać pozostały zapas egzemplarzy, zanim się coś trwalszego dla rodziny pozbawionej swojego żywiciela i ojca obmyśli.

Prawie jednocześnie z wiadomością o śmierci Lama we Lwowie, z Beyreuthu przyszła wieść o śmierci króla wirtuzów europejskich Franciszka Liszta.

Samo nazwisko od pół wieku przeszło czarowało jakimś magnetycznym urokiem świat muzykalny i niemuzyczny. Fenomenalny ten talent, niepospolita indywidualność, jakaś iskra geniuszu wcielona w człowieka, który zachwycał i czarował swą grą całą Europę, stał się osobliwością jedyną w swoim rodzaju.

Całą drogę życia wysypaną miał laurami i różami, jako artysta i człowiek; czczony, wielbiony, kochany, sławiony jak bożyszcze, dożył sędziwej starości i gdyby nie przypadkowe zaziębienie się w drodze i nieostrożność, jaką popełnił, każąc się w lektyce zanieść do teatru na przedstawienie „Parsifala“ wbrew zaleceniom lekarzy, byłby może jeszcze długo królował u fortepianu i odbierał hołdy Arystarcha muzyków dzisiejszych.

Przyjaźń jego z Szopenem, życzliwość dla nas, którą zawsze objawiał w osobistych stosunkach, jak i w literackich swych pracach, zasługi około wykształcenia wielu polskich talentów, składały się na wyraz sympatii obok podziwu dla wielkiego pianisty i kompozytora; tem szczerzej też wyraził się dzisiaj żal nad ubytkiem niepospolitego w sztuce swej artysty.

Quis

Legia honorowa kobiet francuzkich.

(Dokończenie).

Siostra Rozalia, bóstwo ludu paryzkiego, przyjaciółka p.p. Chateaubriand'owej i Lamartinowej, znana jest dzisiaj wszystkim, bo po jej śmierci, w 1856 r., wyszły trzy książki, zawierające historię jej świątobliwego istnienia. Alzatka z rodu, Rinder, urodzona wśród górzystych okolic Wogeów miała w sobie wzniosłość pnących się w niebo szczytów. Oddana w 14-tym roku życia na pensję do Urszulin, rozexaltowała się religijnie i przyjęła w 18-tym roku święcenie za-

konne. Ale w cztery lata potem, gdy umysł jej dojrzał i umiał kierować wzruszeniami serca, już jej w celi zaciąsną: przechodzi do Sióstr Miłosierdzia, zostaje po pewnym czasie ksienią, przełożoną nad paryzkim domem zgromadzenia; staje się aniołem stróżem kobiety ubogiej, aniołem młodej dziewczyny opuszczonej, i starości samotnej; wywiera wpływ niezmierny na klasy robotnicze, które czczą w niej świętą; wpływem tym oddziaływa na wojsko, w osobie młodych żołnierzy, przybywających świeżo z wiosk swoich. W 1852 r. otrzymuje krzyż dekretem Napoleona, który, schylając się przed nią, prosił o błogosławieństwo, jako wie zali nie szczerze, bo prawdziwa cnota ma w sobie moc podbijającą dusze ludzkie, choćby niższej wartości gatunkowej. Zmarła, mając lat 69.

Marya Abicot de Rogis otrzymała krzyż Legii Honorowej za czyn wielkiej odwagi i mocy duszy. Żona mera w gminie Oizon, raz w Niedzielę 1851 r., została sama w domu, gdy tłum niechętny rządowi napadł merowstwo, aby je zburzyć, dla zniszczenia archiwów. Zabarykadowała silnie drzwi, ale podłożono ogień; nie uległa przecież, jakkolwiek płomień już ją otaczał. Ranna przytem pałaszem, dotrwała na stanowisku, które uważała za stanowisko porządku publicznego i mogła była zginąć w ogniu, od którego już zapalały się jej suknie i włosy. Otrzymała krzyż w 1852 r.

Siostra Helena, z domu Du Soullier przeżyła jako Siostra Miłosierdzia lat 60, przy szpitalu w miejscowości La Ferté sous Jouarre. Miłość okolicznego ludu, który ją nazywał matką swoją, świadczyła o jej zasłudze społecznej, za którą przyznano jej krzyż w 1852 r.

Siostra Teresa, według świata M-me Massin, pełniła przez półwieku świętą pracę Siostry Miłosierdzia. Urodzona w 1770 r., młodo zamężna i owdowiała, oddała się obsłudze szpitali wojskowych. W 1814 Napoleon, widząc jej poświęconą działalność, chciał ją obdarzyć krzyżem Legii Honorowej, ale nie przyjęła go, prosząc, aby w miejsce jej otrzymał go sędziwy już żołnierz, który z wielką odwagą zniósł bolesną operację odjęcia nogi. Kaleka samotny potrzebował jakiejś pociechy i za jej pośrednictwem Legią otrzymała Siostra Teresa, już też siwiutka, jak gołąb, jeszcze była przykładem dla innych w czasie klęski cholery w 1849 r. Napoleon III przyznał krzyż Legii 92-letniej staruszce, która zmarła w kilka miesięcy potem. Załoga Compiègne, gdzie pełniła swe dzieło miłosierdzia od 1813 roku, oddała jej przy pogrzebie honory wojskowe generała dywizji.

Siostra Joanna Barbara z domu de Chagny otrzymała w 1852 krzyż Legii Honorowej, jako przełożona Sióstr Miłosierdzia najpierw w Tuluzie, a potem przy wojskowym szpitalu w Lyonie. Żołnierze gwałtem prawie obstąpili jej śmiertelne zwłoki, aby je zanieść do grobu na skrzyżowanych bagnietach.

Anna Drevon, wiwandyerka 2-go pułku Zua-wów, ma swoją heroiczną i dramatyczną historię. W bitwie pod Magenta widzi nagle, że żołnierze austriacy porywają sztandar pułku i unoszą go. Z rewolwerem w rękę rzuca się za nimi, zabija tego, który niósł chorągwie, daje następnie kilka celnych strzałów tak szybko, że nikt nie może podnieść opuszczonej przez zmarłego chorągwi, aż ona sama ją chwytą i odnosi pod gradem goniących ją kul, za co ma sobie przyznany krzyż Legii Honorowej. W wojnie prusko-francuzkiej znajduje się przy 32-m pułku piechoty, w której służył jej syn, nosząc zawsze na piersiach tę oznakę szlachetnych, co przecież wzbudziło śmiech w żołnierzach bawarskich, gdy towarzysząc więtemu do niewoli pułkowi swemu, znalazła się pomiędzy nimi. Milczała, gdy sztychono z niej, lecz naraz, skoro obraza dotknęła Francji, zawołała, aby nie wazono się na żadne więcej słowo takie, bo uciszy nazawsze usta, które je wymówią. Powtórzono je przecież, jeszcze obelżywiej, więc i wykonała pogrozkę. Zabiła Bawara na miejscu i została przez sąd wojenny skazaną na śmierć; ale księżę Fryderyk Karol, szanując uczucie, które w niej działało, skasował wyrok. Obecnie Anna Drevon jest prze-

kupką na rynku paryzkim, tak zwaną: „dame de la Halle“, krzyż swój nosi zawsze na piersi, już siwa zupełnie, ale zawsze śmiała i dumna, pełna gorącego zapalu.

Róża Bonheur, której czyste, szlachetne, przez zajęcie się młodszym rodzeństwem i starym ojcem ofiarnicze, życie czytelniczy naszego pisma już znają, otrzymała krzyż za obraz nabyty przez państwo do Luwru. Posiada ona prócz tego belgijski „Order Leopolda“, hiszpański „S-go Karola“ i kommandorski krzyż orderu „Izabelli Katolickiej.“ Ale rzeczą wyższą nad te zaszczyty jest to, jak poświęcała młodość staremu ojcu, jak sama bez opieki żadnej w świat idąca i torująca sobie drogę swoją, umiała strzedz się od zasadzek, czyhających na niej, jak zwłaszcza była zdolna walczyć nawet z miłością, która byłaby mogła stać się dla niej kamieniem obrażenia.

Siostra Penin, przełożona zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia w Tuluzie, została obdarowana krzyżem Legii Honorowej za poświęcenie, energią i niepospolity rozum, okazany w 1875 roku w czasie zalania miasta przez powódź. Byli tam mężczyźni, byli inżynierowie wojskowi i cywilni; przecież jej bystry rzut oka, jej spokojna i szybka dyrekcyja uczyniła najwięcej—ocaliła najwięcej ludzi i ich mienia, może dlatego, że było w niej najwięcej ofiarniczości. Dach jednego domu, z którego uratowała wszelkie żywe życie, bo nawet klatkę z ptaszkami, tak zapadał się za nią w chwili, gdy ostatnia przestępowała próg jego, że gruzy obsypały jej suknie. Krzyż Legii został jej udzielony natychmiast, bo zaraz w 1875 r.

Siostra Onesima, według świata M-me Lefebvre, otrzymała krzyż także w 1875 r., na żądanie gubernatora Martyniki, gdzie życie jej było jedną długą pracą dla dobra bliźnich. Przez trzydziści sześć lat nauczycielką i przełożoną elementarnej szkoły dziewcząt, owdowiawszy, weszła do zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, aby pełnić służbę przy szpitalu miejscowym. Gdy w 1875 wybuchnęła na wyspie cholera, zasługi jej w tym kierunku i pozyskana wdzięczność ludu, były tak wielkie, że trzeba jej było nagrody najwyższego znaczenia w kraju.

Julia Dodu stała się głośną w całej Europie, przez swój czyn patriotycznego poświęcenia, w 1870 r., a córka zasłużonego lekarza marynarki, utrzymywała się z matką, jako telegrafistka rządowa w mieście Pithiviers, gdy nagle zajęły je wojska pruskie. Była to chwila bardzo ważna dla wojennych działań okolicy, która właśnie uorganizowała obronę. Otóż komendant pruski, zebrawszy potrzebne wiadomości, zajął stacją telegraficzną i zamknąłszy Julię Dodu w jej sypialnym pokoju, wysłał depeszę do Orleanu, do księcia Fryderyka Karola, zawiadamiąjącego o stanowiskach wojsk francuzkich i więzieniu ich we dwa ognie, skoro ruszą miastu na odsiecz. Ale na szczęście drut telegrafu przechodził przez pokój sypialny; przy pomocy przenośnej maszynki telegraficznej, uwięziona zdołała przejąć depeszę niemiecką i poznawszy jej treść, wysłać w przeciwną stronę, bo do władz francuzkich, depeszę inną, ostrzegającą. Oddział francuzki został ocalony, ale czyn szlachetnej dziewczyny wyszedł na jaw, przez gadatliwość czyjaś. Skazana przez Prusaków na śmierć, już stała naprzeciw mającej ją przeszyć kuli, gdy właśnie nadciągnęły wojska zawezwane, już teraz napróżno, z Orleanu, i księżę Fryderyk Karol na ich czele. Wstrzymał on coprędzej egzekucyą i nietylko darował życie szlachetnej istocie, ale w wyrazach pełnych uznania winał jej mocy duszy i uczuć szlachetnych.

Baronowa Jarrethout, Bretonka także, już nie młoda, bo urodzona w 1817 r., miała zatem w 1870 r. lat 53, otrzymała w czasie wojny francuzko-pruskiej nazwę *matki ochotników*, bo ich karmiła, odziewała, przebywała z nimi po lasach i kwaterach, budząc zapal i podtrzymując na duchu. Odznaczyła się szczególnie pod Ablis, gdzie sto dwudziestu wolnych strzelców prowadzonych przez nią, wzięło do niewoli dwa szwadrony ułanów pruskich, i później pod Chateaudun, gdzie w czasie obrony tego miasta donosiła

żołnierzom francuzkim amunicją pod rotowym ogniem Prusaków. I nie były to jedyne jej czyny. Niemordowana, zbierała wiadomości o nieprzyjacielu, opatrywała rannych, sama nieraz gotowała w kotłach jadło żołnierzom, asystowała bohaterko przy obronie Le Mans, Alençon; wzięta raz do niewoli uciekła z niej i wróciła do obozu francuzkiego. Nakoniec ocalała wśród walki drogocenne dla sprawy życie dowódcy Mobilów francuzkich. Krzyż otrzymała w 1877 r.

M-me Frary Gross, Alzatka, obznajomiona ze sztuką pielęgnowania rannych, oddawała sprawę ojczyźnej wielkie usługi w czasie oblężenia Paryża, z którego nie chciała wyjechać, i gdzie poświęcała się dniem i nocą, jako dyrektorka ambulansu miejskiego. Podana zaraz do krzyża przez naczelnego lekarza armii, Dr. Larrey, została przecież ozdobiona nim dopiero w 1883 r.

Siostra Marya Anna (de Saint Julien) otrzymała krzyż Legii Honorowej za wysokiego rodzaju poświęcenie podczas cholery, panującej w Marsylii w 1884 r. Jest ona przełożoną zgromadzenia Sióstr Miłosiedzia w Marsylii; krzyż dostała w roku zeszłym.

W zeszłym roku także otrzymały ten znak czci i uznania jeszcze trzy inne Siostry Miłosierdzia:

Siostra Marya Ambrożyna (Nonat), poświęcająca się pielęgnowaniu kobiet nieuleczalnych. Z rodziców bardzo bogatych, poświęcała się temu zawodowi w wieku młodym, ładna przytem, więc posiadająca wszystko, co w świecie równać może drogi życia i pozwala liczyć na szczęście.

Siostra Marta (Henryka Saby) była w Algierii jedną ze zwyczajnych Sióstr Miłosierdzia, gdy w 1884 r., wybuchła w Oranie cholera. Własna jej energia i poświęcenie bez granic postawiły ją jakoby na czele wojskowego szpitala tamtejszego. Wiecznie na nogach, nielekająca się nigdy zarazy, siostrzano-tkliwa dla biednych, zdala od domu i kraju umierających żołnierzy, wydawała się ludzom jakoby otoczona blaskiem anielskości. Generał-gubernator Algierii tak silnie żądał dla niej krzyża Legii Honorowej, że go przysłano jej zaraz do Oranu, gdzie szpital wojskowy oddany został pod jej pieczę czułą i rozumną.

Siostra Marya od Krzyża (Laura de la Roche), zyskała podobne uznanie generała dowodzącego wojskiem francuzkiem w Tonkinie. Wystosował on do Prezydenta Rzeczypospolitej odezwę, proszącą dla niej o tę nagrodę szlachetnych, i nie od mówiono mu a jest to teraz ciekawe widowisko: te dwa prądy, ścierające się ze sobą we Francji. Lud francuzki, żołnierz francuzki czci i kocha Siostrę Miłosierdzia, nazywa ją „Soeur du bon Dieu”, pamięta te czasy, gdy prezentowano przed nią broń, jak przed osobą dostojną, i nie prędko też potrafia mu wytknąć, że to przesąd jest czcić w niej najczystsze na ziemi poświęcenie.

M. Ilnicka.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg)

Więc było patrzeć na co teraz, bo Tatarowie, co się tak zrazu ochoczo stawili, a wyzywali i wiskiem a śmiechem wołali ku sobie, gdy ich nabito kupę, że się trupy wałem położyły, zgięły się naprzód, połamali, aż i pierzchać zaczęły.

Zdala widać było, jak końskie ogony, które nad niemi miasto chorągwi powiewały, ku lasom się zawracać počęły; toż i owa tłuszcza pierzchnęła.

Wsiadł dopiero Koniecpolski na nich i ciąć począł, a napędziwszy w nizinę i błoto, gdzie z grzę-

zawicy się dobyć było trudno i ucieczką salwować, nasiekl ich moc wielką.

Począł się zmierzchać, gdy na równinie przed królem Tatarów i zmieszanych z nimi Kozaków nie stało, tylko pstro się na polu zdala wylegały trupy, między którymi też i męnych ze strony polskiej dosyć było, ale Tatarów dziesięć razy tyle. Można się było tem cieszyć, bo pierwsze spotkanie dla wojska wiele znaczy; i król też Bogu dziękował, a swoim dowódcą.

— Niczem to jest jeszcze—rzekł chłodno powracający właśnie Jeremi Wiśniowiecki — początek i próba. Teraz dopiero, gdy przyjdzie do walki, stanowca ona być może. Kozacy tak prawie, jak nie występowali, choć patrzeli i podbudzali. Jutro lub pojutrze stanowieć będzie, ani spać, ani się zbytnio zwycięstwem cieszyć nie pora. Czujności trzeba!

Rada to była zdrowa i dobrze przyjęta, ale jak już umysły wszystkie przeciw Jeremiu i bohaterstwu jego zazdrośnie się stawiły, tak i to jego wystąpienie drudzy strofowali pocichu, że nauk jego nie potrzebowano. Król przecież, choć może toż samo czuł, żadnej po sobie nie okazał urazy,

W obozie, czaty rozstawiwszy, ledwie tej nocy spoczynku kto zażył, a większa część, ani myśląc się rozbiierać i kłaść do snu, przesiadła ona krótką noc pod namiotami przy kubkach, na rozmowie.

Około Xieźkiego też przyjaciół się zebrało dosyć; ale ten, co zawsze wesołej myśli bywał i nawet na placu już dowcipował a żarty stroił, był dziwnie ponury i milczący.

— Staszek — wołał na niego stary Węgorzewski — ja, jak Boga kocham, nie poznaję cię. Co ci to jest?

— Co mi ma być? — odparł Xieźki — nic tylko pomyślałem sobie, że my żołnierze nieopatrzni jesteśmy, a to mi z tego przyszło, że zrana dziś jeszcze z Jordanem Ligęzą swawolił, a oto nam go nie stało. To nic, ale, słyszę, majątność zostawił taką, że się o nią za łby drzeć będzie rodzina, a palestra się nią więcej pożywi, niż ona. Każdy z nas za pazuchą testament nosić powinien, a jam go nie sporządził.

Aż się za boki wziął Węgorzewski.

— Cóż bo tobie na myśli! — zawołał — Małomśmy się to nawojowali razem, a nikomu z nas testament ani przez głowę nie przeszedł. Pluńże....

Xieźki ręką powiódł po czole.

— Głupia rzecz — przed bitwą o testamentie prawić — rzekł — ale, co ty chcesz? Nie człowiek myślą rządzi, ale ona człowiekiem; albo ja wiem z kąd mi ona przyszła? a uwija się i burczy we mnie, jak ta mucha natrętna w upały.

Ręką zamachnął.

— Zapijmy tę sprawę. — I trącili się kubkami z Węgorzewskim.

Przychodzili co chwila inni, bo mało się komu spać chciało. Przyniósł jeden wiadomość, że Wojciechowi Męczynskiemu Tatarzyn czaszkę obciął tak, że prawie mózg obnażył, ale mimo to doktor królewski Baur obiecywał, że go przy życiu utrzyma, a król się oświadczył choćby złotą mu sprawić misiurkę.

Nadedniem już Kozak zbiegł do obozu od Bohuna z nową powieścią, którą wprost z królewskiego namiotu przyniósł tu Zahajski.

Powiedział on, że po porażce zaraz, gdy się Tatarowie cofnęli, kazał Han po Chmielnickiego posłać, pod straż go wziąć i gdy do namiotu jego przyszedł, napadł na niego bardzo gwałtownie.

— A toś mnie zwiódł i oszukał! ale gardłem to przypłacisz. Prawieś mi, że Polacy sił nie mają, że mało co pułków ściągnęli, a pospolite ruszenie nie przyszło. Było dziś popatrzeć na równinę i obóz ich: toć éma ich ogromna; my im nie podołamy; nabili nam ludzi; najlepszych Murzów potraciłem.

Chmiel miał na to mu odpowiedzieć:

— Wszystko to nic. Czekać: rozpierzchnie się ten tłum i porozłazi, bo oni długo wytrwać nie umieją. Dopóki w obozie jeść i pić mają podo-

statkiem póty ich buty; przyjdzie głód i niedostatek: skłóca się z sobą i króla porzuca.

Chyba nie wiesz o tem, że trzy dni temu z królem się już kilka pułków zwaśniło i precz odeszło od niego: będzie to i z innemi. My ich lepiej znamy.

— O! o! — zawołał Xieźki — to dopiero Chmiel nas zna! Nie darmo drudzy powiadają, że w nim kawał szlachcica polskiego siedzi, i że się dla Kozaków czyni chłopem, choć nim nie jest.

Patrzajmyż, abyśmy mu nie dali odgadnąć się, a tak nie uczynili, jak prorokuje.

— Za się! — odparł Węgorzewski — nie może to być. Krwi powachaliśmy, a ona upaja i krzepi; spory na potem odłożymy, gdy się na sejm zbierzemy.

— A ja za nic nie ręczę — przerwał jeden ze Stadnickich, który się rozmowie przysłuchiwał. — Już oto dziś przeciwko Jeremiu Wiśniowieckiemu drudzy sarkają, radziby go od wszystkiego odsunąć, aby jeszcze większej sławy nie nabył, a króla z niej nie odarł.

— Boże miłosierny — zawołał Xieźki — jakby nam tu o sławę chodziło, gdy Rzeczpospolitą ratować trzeba, która dla niezgód naszych zginąć może!

Tak samo, jak pod temi namiotami starszyny, całą też noc u króla deliberowano, to języka nowego dostając, to przyszłe układając plany.

Radziejowski też nie pozostał bezczynnym, ale do rady wojennej go nie potrzebowano i do niej się też nie przydał, ani miał prawa.

Jego to sprawą owe trzy pułki poszły do domów, a teraz z zawiścią patrząc, jak się wszyscy około króla kupili i nawet stary Potocki a Wiśniowiecki słuchać go byli gotowi, nosił się od jednej gromadki do drugiej, pstrykając ciągle tem, iż król nadto sobie ufał, żadnego doświadczenia w rzemiośle wojennem nie mając, a uporem swoim mogąc narazić Rzeczpospolitą na zgubę.

Zręczny człek na razie tem się podpierał, że gdyby nie hetman Potocki, który króla, w kaplicy pochwycał, uprosił i zaklął, ażeby się z miejsca nie ruszać, wojsko-by było tego dnia wyciągnęło i właśnie na grzędzowicach i moczarach przyszłoby mu z Kozakami i Tatarami się ścierać.

— To łaska Boża — powtarzał, chodząc po szlachcie — iż go stary wódz wstrzymał, a że mu to nie łąco przyszło, jam świadkiem, bo go niemal po rękach całować musiał...

Tak prawie noc całą, przechadzając się, u siebie przyjmując, strawił, gniewem i zemstą rozżarty podkanclerzy, na króla wszystkich jątrząc.

Dzień się począł robić dosyć pogodny i jasny, a właśnie przypadała uroczystość Ś.S. Piotra i Pawła, gdy u króla jeszcze nanowo rada się zebrała, na którą i Radziejowski się wcisnął, rze żeby jej co przyniósł, lecz żeby co ztąd wykradł a spożytkował.

Jeremi Wiśniowiecki, który naturę Tatarów znał, powiadał, że dopóki uciekać nie počęli a stali, póty się zawsze od nich wielkiego a gwałtownego impetu i napaści spodziewać było można.

— Mnie się zda — rzekł król — iż wczoraj dosyć nieszczęśliwie się z nami spróbowałeś, dziś chyba całych swych sił nie wyprowadzą w pole, a na małych poprzestaną napaściami, aby nas niepokoić.

Jeśli prawda, co Kozak przyniósł o Chmielu, posłuchają go i będą leżeli, a czekali... aż...

Nie dokończył — tylko westchnieniem.

W tem Kalinowski dodał:

— N. Panie, Tatarom leżeć cierpliwie w miejscu, czy-to wojsko, czy zamek oblegając, rzecz nieznośna. W miejscu długo trwać nie umieją, ani mogą. Przechodzą, jako burza niszczyć, a odparci tak samo znikają, że ich napędzić trudno. Zda mi się, że i dziś siła ich na nas się zwali.

Król stał przy swoim.

— Zobaczycie!

Wszelako pułkom w pogotowiu być kazano.

— Do stanowczej rozprawy nie przyjdzie może

dzis — dodał Kalinowski — bo na Kozaków jeszcze w pomoc ciągnących czekają, a ci dziś chyba dopiero wieczorem tu staną.

Więc radzili wszyscy, aby lewe szczególniejsze skrzydło gotowem było odeprzeć napaść niechybną.

Jeszcze o tem u króla rozprawiano, a duchowni jeden po drugim msze święte odprawiali, gdy o Tatarach dano znać: ciągną.

Widok był jakiego może w żadnym na świecie wojsku nikt nie baczył podobnego. Tu już trąby i kotły wołały do szeregów i na plac, a na pagórku roilo się od pobożnych, którzy w pełnych zbrojach, szyszaki tylko zdjawszy, z rękami złożonemi do komunii przystępowali; inni szli do spowiedzi, a i takich się znalazło dosyć, co na ziemi krzyżem rozciągnięci leżeli. Kapłanów dosyć ledwie mogło nastarczyć tym, co się do nich cisnęli. Więc, jak kto stał i mógł, spowiadał się i spowiedź przyjmował. Niektórzy z księży przysiąść mogli; inni, stojąc, pochyleni penitentów odprawiali, których całe szeregi czekały na komuniją świętą.

Uderzwszy się w piersi, a sumieniu ulżywszy, odchodził potem każdy z wesołą twarzą, jakby ciężaru z ramion pozbył się, z mężstwem podwojonem, z ufnością wielką.

A choć tatarska dzicz już na skrzydło hetmana polnego uderzyła i bój się zacięty poczynał, na wzgórzu msze święte wychodziły jedne po drugich i nabożeństwo a pieśni nie ustawały.

Król już był na koniu.

Pierwszy, u Tatarów zawsze najsilniejszy napad, któremu wiski i wrzawa, z chmurą strzał gęstą, towarzyszyły, hetman polny tak wytrzymał, że się ani ugięły szeregi. Tuż stał pułk Szczawińskiego, Brochockiego, Brzesko-Kujawskiej szlachty, która też mężnie wytrzymała, aż Lanckoroński w sukurs jej pośpieszył.

Z góry patrzący tam, gdzie walczone, rozznać już nic nie mogli, tak się zwarto. Tatarowie-by może odpierani pierchnęli swym obyczajem, ale Han i Kozacy z tyłu ich cisnęli, odwrót zatamowawszy umyślnie, tak, że bić się musieli radzi nie radzi, a gąszcz na pobojowisku była taka, że jeden drugiego cisnął i szablą nawet robić było trudno.

Nawała na lewe skrzydło była nieprzeparta, bój zajadły, tak, że Lanckorońskiemu wkrótce na pomoc hetman polny zresztą swych pułków i książę Jeremi i hussarze królewscy z kopiami, i hetmański najlepszy pułk Potockiego i pułki Sobieskich pójść musiały.

Tu się, oczywiście, losy ważyły, bo gdyby złamali Tatarowie szeregi, całą swą niezliczoną armiją byliby na obóz się rzucili.

Król, zdala wytrwać nie mogąc, choć go wstrzymywano, konia wspiał i puścił się na lewe skrzydło.

Cztery godziny trwał krwawy bój, a nietylko, że Tatarzy nie ustępowali, ale cisnęli tak przemożnie, iż pułk hetmański Potockiego nawpół uszczuplony zeszedł z placu, a nawet chorągiew stracił, którą Brzostowskiemu chorążemu z rąk wydarto.

Król, który jej z oczów nie stracił, krzyknął z bólu wielkiego, i choć go dodani dla bezpieczeństwa stróże, nadbiegli z Kłodzińskim, pochwyć i wstrzymać usiłowali, nie dał się ująć, aż do placu boju docierając.

W sam też czas się to stało, bo część szeregów, przełamana, cofać się zaczęła, gdy wśród siebie króla postrzegła.

Król wołał podnosząc ręce.

— Naprzód! naprzód, na Boga i na ojczyznę zaklinam was. Co życie warte ze sromem, obróćcie się ku nieprzyjaciółom! Posiłki idą: przełamać trzeba, choćby przyszło ginąć! Jam też życie dać gotów.

I głos ten królewski i wysiłek nowy naostatek szalę na stronę walczących chorągwi naszych przechylił. Poczeli się mieszać Tatarowie i pierwsi naprzód z kraju pierchnęli. W pośrodku wielkiego ścisku, dopóki ich szable nie przerzedziły, jeszcze się opierali, ale i tu już zamieszanie się

wzięło, ucieczka poczynała. Dopieroż i walczącym serce urosło.

Stali trochę Kozacy, podpierając hańską orde, lecz gdy się ta rozsypywać zaczęła i oni tył podali...

Pułki polskie hamować już było potrzeba, bo znany to jest tatarski wojenny podstęp, iż gdy nie zmogą nieprzyjaciela, symulują ucieczkę, a wywiódłszy go w pole rozpięchłego, dopiero się nazad zwracają impetem nowym... a że pagórek ucieczkę ordy zasłaniał, za którym tabory kozackie stały, puszczać się więc daleko nie mogły, ani reszty hetmańskiego pułku, ani hussarze królewscy, którzy mężnie się bili, ani Lanckoroński i Szczawiński. Trąbiono, aby w miejscu pozostali, choć za straconą chorągwią Brzostowskiego, o której nie wiedziano, że odzyskaną została, gotowi byli iść choć w paszczę tej dziczy.

Z tą zaś chorągwią, jak była przygoda, tego później nikt ani opowiedzieć, ani zrozumieć nie mógł.

Brzostowski, który ją niósł, silnym był, a odwagi znanej, ale mu się w tym tumultcie, gdzie się obrócić było trudno, z rąk wysliznęło drzewce. Pochylił się, aby upaść jej nie dać, gdy go w kark Tatarzyn ciał, i porzecz z drzewcem razem nie do rąk jego, ale na ziemię się dostał, gdzie go nawet końskimi kopytami tak stratomowano, że się stał do łachmana podobnym.

Brzostowski, choć cały krwią oblany, z miejsca się nie dał ściągnąć, aby nie stracić proporca, bo potem na pobojowisku odszukać by go było niepodobna. Padł więc dobrowolnie, a w tem i krwi utraciwszy wiele, przytomność stracił, że go zaś nie stratowano i nie zgnieciono, osobliwszy wtem cud był.

Już tedy i jego i chorągwi stratę oplakiwano okrutnie, gdy na pobojowisko z Tatarów oswobodzone pobiegły ciury, jak to ich obyczaj trupa odzierać.

Tu sługa Brzostowskiego pana swojego, nie po twarzy, ani ze statury, ale po ostrogach osobliwych poznał, i litując mu się, że jeszcze w nim ducha trochę zostało, wziął go na nosze z innymi do namiotu.

A ściągając go z ziemi, o chorągwi nie myśleli, bo ją za straconą miano. Przyniesiono tak chorążego do namiotu i na łożu rozciągnięto, a król Baura mu przysłał, azali życia uratować nie potrafi. Gdy go ze zbroi, porozcinawszy rzeźmię, z kaftana i odzieży oswobodzono, okazało się, że w rękach zgrabiętych coś cisnął, a była to chorągiew owa stracona, którą on nieprzytomny na ziemi, snadź poczuwszy, jakimś cudem przygarnął pod siebie i już jej nie puścił.

Całą potem, krwią jego zbroczoną, błotem zmazaną, poszarpaną, postawiono przed namiotem, której reszta pułku, bo go dużo wyginęło, nieźmiernie się cieszyła.

I tej też nocy, pomimo znużenia wielkiego, nie było w obozie spoczynku.

Król, wszyscy hetmanowie i co było starszego żołnierza, na radę powołani, utrzymywali, że na zajutrz do walnej bitwy przyjść musiało.

Zgodni byli wszyscy, o to tylko Pana Boga prosząc, aby nieprzyjacieli porażony, serca nie stracił i nie uszedł. Wysłane szpiegi przyniosły już późno w noc, że Kozacy się okopywali za wzgórzem, a orda rozłożona taborem spoczywała.

Król tego dnia kilka razy tak się z rąk straży swej wyrwał, niecierpliwie i w sam bój z niebezpieczeństwem życia rzucał, że tu zgodnie też wszyscy postanowili prosić go, aby, jako naczelny wódz, siebie oszczędzał.

Ale widziano go ciągle tak rozognionym, iż sobie o tem mówić nie dawał, zwłaszcza gdy po przełamaniu Lanckorońskiego udało mu się już pierzchających zawrócić.

Chciano, aby Jeremi Wiśniowiecki z tem do króla wystąpił w imieniu innych, ale stary wódz odmówił, bo się obawiał, aby fałszywie kroku tego zawiści nie przypisywano.

Ani Potocki, ani Kalinowski, ani chorąży Koniępcowski, który u Jana Kazimierza zachowania miał dosyć, nie podejmowali się go hamować.

Postanowiono więc duchownego uprosić, kanclerza Leszczyńskiego, który musiał po radzie z prośbą do króla przyjść w imieniu wszystkich.

— N. Panie — rzekł — wszyscy my jako wodza i głowy całość twą najwyżej szacując, błagamy cię, abys w boju nie stawał, jak dziś... Wodzom się to nie godzi, bo ich ręką, nie ręką, ale głową wojować, a głowa ich za tysiące rąk starczy. Duchowny jestem, kapłańską radę daję, ale mnie też wojskowi poprą. A i przykładem poprzedników mogę poprzeć prośbę naszą. Wiadomem to, iż pod Grunwaldem Jagiello, przodek W. Król. Mości, na wzgórzu stał, a choć się do boju napierał, nie puszczone go... ani błogosławionej pamięci ojciec W. K. Mości w bitwie z rokoszany sam udziału nie miał.

Król był od dwóch dni w takiej ciągle gorącości ducha, że się niemal za tę radę na Leszczyńskiego obraził i bardzo szorstkim głosem mu odpowiedział:

— Mój ojcie, kapłanem jesteś, sam rzekłeś: nie wdawaj-że się w rycerską sprawę. Wiem-ci ja co wodzowi przystało, bo są momenta, gdy musi hetmanem być, ale przychodzą i takie, kiedy żołnierzem być serce każe. I ja też żyć z żyjącem rycerstwem mojem, umierać z umierającymi pragnę. Niech żołnierz widzi przed sobą wodza i króla: to najlepszy zakład zwycięstwa. On jeden może podźwignąć ducha i wlać mężstwo. Kula znajdzie wszędzie winnego, z dopustu Bożego, i tak mnie zdala stojącego dosięgnąć może, jak w tłumie oszczędzić.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KARTA Z PAMIĘTNIKA POETY.

(Dokończenie).

Lipiec.

Dość miałem obcej ziemi, obcych ludzi. Patrzyłem, widziałem, słyszałem, i przyszła chwila, kiedy rzekłem sobie: dość! Tęsknota ciągnęła mnie do kraju, choć przyzwyczaiłem się już był do mojej willi, do róz u okien, co napełniały pokój cały wonią, do jednostajnego szmeru Kirniczbachu. Życie jest ciąglem przywiązywaniem się do kogoś lub czegoś, i ciąglem żegnaniem się z kimś lub czemś. Człowiek, jak ptak przelotny, zatrzymuje się to tu, to tam, a potem z ciężkiem sercem porzuca miejsce, gdzie choćby jedno znalazł dobre ziarno, co go posiliło, gdzie jedną cichą przeżył chwilę, jednę choćby zostawił myśl.

Statek do D... odchodził o świcie. Ranek ten był ostatnim obrazem, który mi został w pamięci z tej obcej ziemi. Pożegnawszy ogródek mój, pełen śpiących kwiatów i motyli, zbiegłem szybko ku rzece, gdzie w przystani parowiec „Germania” dawał nawołujące sygnały.

W parę minut spuszczone mostek, pokład drgnął tam i napowrót, fala wody buchnęła pod kołami i wplynęliśmy w mgłę poranną. Promień słońca igrał na szarfie wyrzucanych kropli, tworząc prześliczną tęczę, a ja, stojąc nad nią, myślałem, że poraz pierwszy w życiu jestem wyżej od niej. A tam pod falą Elby bieleją kości Słowian, dawnych mieszkańców tej ziemi; tam stoją na dnie pełne żwiru ofiarne dzbany wytopionych Miśniaków i Wendów, leżą stare łuki i kolczugi Łużycan, a nad nimi płynie „Germania”, pełna gwaru i życia zwyciężkiego szczepu, co pochłonać umiał pierwotne plemiona. Bożyszczą zapomniane śpią pod wodą i kamiennymi twarzami patrzą ze swej historycznej głębi, jak nad niemi przechodzi żelaznym, maszynowym krokiem kultura wrogiej rasy. — Do kraju! do domu! — wołało coś we mnie. Wracałem, wędrownie ptaszę, do cichego gniazda z pełnemi skrzydłami szumu i wspomnień... W duszy odzywały mi się jakieś znane tony, przelatwały dalekie, jeszcze, wpływające różne śpiewy. Czulem uniesienie, co, jak modlitwa, rwało mnie ku niebu — Boże, Boże, co to

będzie! co to jeszcze być może! Wracalem spokojniejszy, swobodny, ozywiony, z wichrem nowych myśli w głowie, zadyszany tysiącem wrażeń, rozbudzony do dalszego życia, mężniejszy...

Wrzesień.

Jestem na wsi. Zaczyna się jesień, moja ulubiona pora roku. Zboża już zebrane, na zornych polach wschodzi ozimina i zieloną runią pokrywa ziemię; listki złotawą chmurą lecą powietrzem i szeleszczą na ścieżkach ogrodu, senna cisza kładzie się na wiejskich przestrzeniach; wszystko się niby kończy i wędnie: a mnie się zdaje, że siła kwitnienia w duszę moją wstępuje. Błądę po łąkach, patrzę w wodę, słucham grania fujarek, które od pół, aż tu do mnie dolatują do grabowej alei.. Siedzę i myślę pod temsamem drzewem, pod którym niegdyś uczyłem się i śpiewałem pierwsze piosenki. Szukam i znajduję na korze wycięte ręka moich pierwszych towarzyszy—początkowe litery ich imion. Zorawie odleciały, melancholia moja całoroczna, jak Goplana, uleciała z nimi w dal.

Natura, jak dawniej, ciągnęła mnie ku sobie swemi urokami; nie opierałem się: niech robi ze mną co chce... Motyl leciał nad łąkami i pytał mnie się: Czy ty masz serce?—Mam.—A czemu nie lataasz?

Niezapominajka nad strumieniem pytała — Czy ty masz serce? — Mam. — A czemu nie pamiętasz? Odlatujący ptak zapytał: — Czy ty masz serce?—Mam.—A czemu nie śpiewasz?

Róża jesienna ostatnia, mdlejąca, pytała mi się:—Czy ty masz serce? — Mam. — A czemu nie kochasz? Motylu, niezabudko, ptaku, różo! więc mieć serce jest to: latać, pamiętać, śpiewać, kochać? I to jest szczęście? O—tak!

Któregoś dnia poszedłem z wiejskimi chłopcami do lasu na grzyby. Ach, cudny las! Byłem w moim żywiole. Z zielonej polanki oni się porzuchodzili, hukając w gestwinie i nawołując; ja rzuciłem się na trawę. Jak to dobrze głowę oprzeć na miękkim mchu leśnym! Nade mną poruszały się fale zieloności, za nimi przegładało niebo; zdawało mi się, że gdzieś płynę. Zapomniałem na chwilę o wszystkim, o życiu, o sobie, o ludziach, o przeszłości, o przyszłości, o tem, co smuci, o tem co cieszy,—i było mi bardzo dobrze, tak cicho, jak w grobie, lub w niebie. Ach, trzeba się czasem oderwać od wszystkiego, zapomnieć, choćby na chwilę, zapomnieć o wszystkim. Zdawało mi się, że jestem jedną kroplą tonącą w morzu, w zgodzie z pochłaniającym mnie żywiołem, pod opieką ogromu. Zdawało mi się, że jestem jednym tchnieniem tylko w powietrzu i rozplywam się w rozkołysanym beznamiętnym, spokojnie, bez echa, bez wysilenia. Kiedy duch po śmierci ciała, wychodzi z doczesnych obrębów, na najpierwszy odpoczynek danem mu jest może takie bezwiedne prawie zatonięcie w wieczności, które go tuli z miłością i kołysze po gorzkim placzu życia. Potem dopiero dostaje się skrzydeł do nieskończonego ruchu. O, wy gwiazdy w niebiosach, dreszczem światłości wstrząsane może wy jesteście tylko myślami tych ludzi, którzy nigdy tutaj nie zaznali spokoju!...

Ach! mój Boże! gdyby można czasem myśl jaką wyjąć z pamięci i, choć na jedną noc, zawiesić ją w niebie, aby uwolnić się, choć na noc jedną, od niustannego poruszania się iskier wewnętrznych, usiłujących wybuchnąć, a niemających często dość zapalnej siły! Ale wtedy dopiero ujrzelibyśmy może, jak ciemną i bezświetną jest myśl nasza, a ona spadłaby nam może napowrót w serce, nie mogąc związać się z grawitacją przestrzeni.

O zachodzie słońca, wracając do domu, przypominałem sobie chwile, z dawnych lat przepędzone w tejsamej wiosce. Wówczas byłem dzieckiem. W zbyt wiele rzeczy, w zbyt wielu ludzi, wierzyłem. A jednak pamiętam to dobrze, że nawet w najszcześniejszych chwilach mego życia widziałem jakąś chmurną gazę, lekką, wiotką, pnącą się po niebie tu i tam; był to rodzaj przecucia, którego prawdę poznawałem później dopiero, gdy własną ręką owej zasłony trzeba się było dotykać i zerwać ją, aby stanąć już raz na-

przeciw prawdy życia. Czy teraz niebo jest jaśniejsze? Nie wiem, może jest czystsze. Żal mi nieraz wiosennych obłoków, co oczom dziecka były aniołami i kiedy teraz jesienny wichur pędzi białe chmur gromady, patrzę ku nim i coś mi w sercu wyrwa się na ich spotkanie, wołając: wracają! wracają! Duchu dojrzały! czy się nie wstydzisz takich marzeń?

— Czuję niekiedy, jak myśl, gdyby spiralna struna, idąca z głębi, rozciąga się w duszy, rwie się ku powierzchni zewnętrznego świata, znów wraca, skręca i rozkręca się, drga ciąglą pracą i tak czasem gorącą falą rozpięra piersi, że muszę wstać z miejsca, polcieć w pole, lub dośiąść konia i pędzić, pędzić szalenie, aby tym ruchem fizycznym odpowiedzieć, choć w części, wewnętrznemu prądowi; dusza moja się skupia, zwoluje myśli na pospolite ruszenie, zbroi się, rozpędza: czyżby zamierzała odnieść jakie zwycięstwo?

Czy mam ją poprowadzić do boju? Odbiję może z niewoli moję branke ukochaną, moję poezję...

Naprzód!

Milczałem długo... dusza moja zasypała się prochem znojnego drogi, popiołami zagasłych wspomnień. Otrząsnąć mi się trzeba. Co mi wspomnienia, kiedy jest przyszłość! Czuję, że płonie coś pod gruzami przeszłości... przychodzi chwila—musi wybuchnąć!

Fenix poruszył mi się w piersiach... wyrwał się... bił skrzydłami.

Nie! Ja nie umrę, przykryty popiołem!

Nie! Ja nie skonam, choć mnie kryje pył!

Ja znów odżyję, i z promiennem czołem

Wzleczę nad ziemi zamierzchłym padolem,

Pelen sił!

Nie! Kto raz w sobie poczuł życia tętno,

Komu natchnienie owiewało skroń,

Temu daremnie, z zawiescią namiętą,

Ściera wyższości niezmazane piętno

Losu dłoń!

Z pozornej mego ja mogiły ducha

Zrzucę milczenia martwy, zimny słupek,

Duch mój pod głazem czasu nowych słucha

Haseł, na odgłos których życie bucha,

Pęka grób!

Nie mówcie o mnie, że ja się przeżyłem,

I że umarłych niepowrotny druh,

Ja celów moich jeszcze nie spełniłem,

Pod popiołami już może ożyłem—

Wolny duch!

Noc była... Na stawie spały lilie wodne, mgła kołysała się, poruszana wiatrem, jak zasłona nad uspioną ziemią.

Stałem, oparty, o stary dąb, który mnie jeszcze znał dzieckiem; płaszcz mój zasypały zwiędłe liście i martwe motyle, co zgasty wczoraj wieczorem. Dzień przedtem miałem wielki smutek. Czuję ciężką rękę bólu spoczywającą na mojej duszy. Ale się ugiąć nie dałem. Wypiłem tylko-co czarę, czuję jeszcze jej gorzyc, ale uratowałem spokój... Nie mogłem jednak ze smutkiem moim wytrzymać w zamkniętym mieszkaniu między czterema ścianami: dlatego noc spędziłem w ogrodzie, oddałem się w ręce naturze z ufnością bez granic... Było niezmiernie cicho. Naraz wiatr silniej odetchnął i spędził ciemność z niebiosów.

Widniało... Zaniepokoiłem się... wszystko drżaniem ujęte w przyrodzie, ja czuwałem jeden, ja cierpiałem jeden, ja—duch... Miałem serce pełne oczekiwania.

Z dalekich stron, z otchłani milczenia wracają—natchnienie. Na czole niosło wieniec świeżych wrażeń, w piersiach niosło cierń świeżego bólu...

Zastawało mnie, jak dawniej, na łonie natury, gotowym na jego przyjęcie.

Podniosłem oczy na błękit, i spotkałem cudowne spojrzenie: gwiazda zaranna patrzyła ku mnie, patrzyła promiennym wzrokiem.

O, poezjo moja!

To było przebudzenie:

— Niech żyje jutrzienka!—zawołałem na cały głos!

Dzwonki leśne, dzwonki polne, dzwońcie na moję uroczystość—dzwońcie, dzwońcie, dzwońcie! Byłem znowu—poeta...

Szczęсна.

DAWNI I NOWOCZEŚNI.

przez Paul de St. Victor.

IV.

Książę Alby.

Jeżeli kiedy piekło zatopiło ziemię, niby wylew ognisty wulkanu, to stało się to pod formą tej ohydnej armii, zbitej na polu ze zbirów włoskich i z bandytów hiszpańskich, która w r. 1567 przeszedłszy Alpy, dotknąwszy się Genewy i Francji, ukośnym ruchem węża, wysypała się przez Luxemburg na Niderlandy. Składały ją cztery korpusy weteranów dawnych band, opalonych w ogniu wielkich bitew, zaprawnych do mordu, chciwych na łup—ludzi drapieżnych ale i karnych, opryszczków wymustrowanych w posłuszeństwie żołnierskim. Wyprawie tej towarzyszyło 400 kobiet jadących konno w awangardzie: „pięknych i dzielnych jak księżniczki”; 800 szło za temi pieszo. Brantôme, który pośpieszył pocztą do Lotaryngii, ażeby się przypatrzeć armii księcia Alby, usprawiedliwia i wielbi te kobiety. Uwielbia także muszkietierów, uzbrojonych w broń złocaną i rzeźbioną. „Wydawało się, że są księżętami, tak wyglądali dumnie, zuchwale i z takim wdziękiem”.

Ta „dzielna i piękna armia”, jak on ją nazywa, była to armia oprawców, posłana na spełnienie wyroku nad narodem skazanym na śmierć. Historia odnalazła wyrok, wystylizowany chłodno i podpisany z góry własną ręką Filipa II-o. „Zapewnisz Jego Świątobliwość — pisze do ambasadora hiszpańskiego przy dworze rzymskim — że będę się starał uregulować sprawy religijne w Niderlandach, jeśli się da, bez uciekania się do siły, ponieważ ten środek pociągnąłby za sobą całkowite zniszczenie kraju; atoli zapewnisz także, że jestem zdecydowany użyć siły, jeżeli nie będę mógł załatwić sprawy tej inaczej, w takim zaś wypadku chcę być sam wykonawcą moich zamiarów, nieważając na niebezpieczeństwa na jakie się narażam, ani na zniszczenie tych prowincji, ani też innych państw, które mi pozostają, bo nic nie może mnie powstrzymać od spełnienia tego, co książę chrześcijański i bogobojny czynić powinien na chwałę Bogu i dla utrzymania wiary katolickiej”.

Nigdy jeszcze tak ściśle nie dotrzymano programu; pół wieku zniszczenia miało go wypełnić. Nie znaczy to, iżby przed księciem Alby wolność religijna była cierpianą, choćby na chwilę, w Niderlandach. Nielitościwie edykta Karola V przeciw herezyi srożyły się ustawicznie, a regentka Małgorzata Parmeńska wykonywała je z całą surowością. Inkwizycja lokalna szła w zawody z hiszpańską. Flandryjczycy mieli swego Torquemadę w Piotrze Titchmanie, kacie jowialnym i zdziżałym, który zapalał stosy, jak ogień sztuczny, służące ku zabawie. Kroniki społeczne idealizują jego fantastyczne okrucieństwo. Opisują go jako dyablika dziwnego, lecz straszniejszego, galopującego przez pola dniami i nocą na koniu Apokalipsy, miażdżącego maczugą głowy wieśniaków, dławiącego jedną ręką za gardło, torturującego drugą, wyciągającego z łózek podejrzanych, ażeby ich zepchnąć na stos. „Jakżesz się nie boisz— rzekł mu raz prefekt, przewany przez lud „czerwoną różgą”— pędzić tak

sam i więzić wszędzie ludzi, gdy ja odważam się tylko na czele armii i to jeszcze z niebezpieczeństwem życia?—Bo ty—odrzekł Titchman, śmiejąc się—masz do czynienia tylko ze złymi, ja zaś więzę tylko ludzi niewinnych i cnotliwych, którzy się dają brać jak barany”. — Dobrze — odrzekł tamten — ale jeżeli ty więzisz wszystkich dobrych, a ja wszystkich złych, to nie wiem kto na tym świecie uniknie prześladowania”.

Gwałty te wydawały się łagodnymi, wiek ten wiekiem złotym, w chwili, gdy się zjawił książę Alby ze swą hordą. Historia nie ma po Filipie II postaci tak złowieszczej, a trudno ich obydwoh oddzielić od siebie. Oni obaj zdają się tworzyć jedną istotę: książę był ramieniem tragicznym, gwałtownym i ciągle w ruchu Tyberysza-biurokraty, który przybity na swem krześle, bazgrał w celi swej w Eskuryalu wyroki pogrzebne; Alba zmieniał w strumienie krwi, te krople atramentu, które koronowany skryba wypełniał swe depesze. Posiwiwały na koniu, przywykł w ciągłym rzemiośle wojennym do pogardy ludzkiego życia. Przyrodzona mu srogość zacierwieniła się jeszcze fanatyzmem. Zdawało się, że się urodził jak sępy drapieżne, na podstępne niszczenie innych. Nasze pojęcia i uczucia społeczne czynią dziś dla nas prawie niezrozumiałymi ludźmi owej epoki i takie charaktery. Nie umiemy dziś przeniknąć ponurej ciemności ich mózgów, tak jak nie umiemy dźwignąć ciężkiej zbroi, pod którą oni pędzili życie całe.

Przez cały czas pobytu Alby w Niderlandach wściekłość była stanem normalnym. On sam przyznawał to, czytając przed wyprawieniem się, razem z Filipem, petycyje podawane przez szlachtę flamandzką do Madrytu i mówiąc:—„Kryję moje myśli, bo taki jest mój gniew, że możnaby go nazwać szałem”. Atoli rzecz przestraszająca: szal ten był skrzepły i zimny, bez przerwy podziwiania najwyższego i spokoju. Nigdy żadne wzruszenie nie stopiło lodu jego uczuć. Jego entuzjazm w mordowaniu ludzi zdawał się poruszać za pomocą mechanizmu. Topór nie zdradzał nigdy w jego ręku. Nieprzystępny wyrzutom sumienia i pieśni śpiewaniu, siepacz ten zabijał automatycznie. Żyjąc dla mordu, poruszany zasadami tak twardymi jak śruby maszyny, mógł mordować bez końca.

Martyrologie Dioklecjana i Decyusza bledną wobec niego. Czemże jest trybunał rewolucyjny Fouquier-Tinville'a w porównaniu z Radą Krwi zamianowaną przezeń w Bruxelli? Nie jednostki skazywali ci ohydni sędziowie, ale całe masy. Jeden z nich, Juan de Vargas, posunął zamilowanie mordu aż do hysteryi. Nie opuścił ani jednej okrutnej egzekucyi, którą nakazał, śmiał się w oczy ofiarom, które się kurczyły w ogniu. Pewnego razu przekonano się, że spalono niewinnego. „I cóż ztąd—zawołał Vargas wesoło—jeżeli umarł niewinny, tem lepiej dla niego, gdy będzie sądzony na tamtych świecie”...

Inny członek Trybunału, radca Hessels, spał najsmaczniej podczas sądu, a gdy żądano od niego zdania, wołał rozespany, ocierając oczy: „Ad patibulum, ad patibulum (Na szubienicę!)”.

Ci lokaje oprawców wreszcie występowali w tych tragediach sądowych tylko jako komparsy. Książę Alby przywłaszczył sobie najwyższą moc, mógł dowolnie skasować lub zastrzyć ich wyrok. „Dwie przyczyny—pisze do Filipa II z pogrzebowym cynizmem—skłoniły mnie do ograniczenia władzy tego trybunału: pierwsza, że nieznając członków, mógłbym być łatwo przez nich oszukany; druga, że prawnicy skazują tylko za zbrodnie dowiedzione, Wasza Królewska Mość zaś woła: że racye stanu wymagają całkiem czego innego, aniżeli pilnowania się prawa”.

Krwawa maszyna spełniła w kilku miesiącach robotę kilku batalii. Tysiącami wysyłała na śmierć, grupami zabijała ofiary. Rusztowanie teatralne hrabiów Egmonta i Horna było tylko prologiem tej rzezi. Miasta się wyludniały, stosy świeciły jak pochodnie na całej przestrzeni kraju. Nastała taka chwila, w której zabrakło materiału do tyłu egzekucyi. Potrzeba było rądzic sobie słupami arkad i drzwiami domów. Wieszano w pokoju, duszono w mieszkaniu, drze-

wa sadow uginały się pod trupami. Każdy podejrzany był skazanym, a do podejrzenia wystarczyło jedno słowo, jeden ruch. Piotr de Witt z Amsterdamu został ścięty za to, że podczas ruchawki ulicznej łagodził buntującego się. mówiąc:—„Nie trzeba strzelać na urzędnika”. Z tego wynioskowali sędziowie, że musiał mieć władzę wśród zbuntowanych.

Śmierć i wygnanie, za które szła konfiskata majątkowa, stały się wkrótce spekulacją finansową. Hiszpania zarabiała na szafotach, rabowała swe ofiary u stóp szubienic, które pokryła kraj cały. Książę Alby chwalił się przed Filipem II, że odnalazł w tej zakrwawionej ziemi miny peruwiańskie. Tak jak za czasów Sylli kto miał dom piękny lub duże dobra, ginął. Kto posiadał 100,000 florenów narażał się na to, że mógł być przywiązany do ogona końskiego i pościągnięty na szafot. Między tysiącem innych, pewną staruszkę z Utrechtu, gorącą katoliczkę, ścięto pod pozorem, że osmańskie miesięcy przedtem, zięć jej przyjął na noc do siebie kaznodziej kalwińskiego. Zginęła zaś dlatego, że była bogatą. Trzeba było 80-letnią staruszkę nieść w fotelu na rusztowanie.—„Pojmuję—rzekła—dlaczego śmierć moja jest konieczną; wól się utuczył: potrzeba go zabić”. Poczem, zwracając się do kata, rzekła: Mam nadzieję, iż masz ostry topór, bo z pewnością kark mój wyda ci się lękawym”.

Tortura wszelkiego rodzaju urozmaicała męczarnie. Należało do rzadkiego przywileju dla skazańców, gdy ich tylko duszono lub cięto. Zazwyczaj darto z nich pasy, tłuczono kołem, wieszano za nogi, wypruwano wnętrzności lub palono przy wolnym ogniu... Zresztą żadnej wrzawy,—żaden skandal nie zakłócił porządku hekatomb. Język skazańców przeciągano przez pierścień żelazny, a koniec jego wypalano gorącym żelazem. Knebel taki przytłumiał krzyk ostatni, przekleństwo zemsty. Dzięki temu, heretyk wstępujący na stos zdawał się nawróconym.

Okrutne marzenie Kaliguli, żeby rodzaj ludzki miał jedną tylko głowę, zostało urzeczywistnione w Niderlandach. W d. 16 Stycznia 1568 r., wyrok królewski skazał wszystkich mieszkańców niderlandzkich na śmierć, jako heretyków. Kilka tylko osób, wspomnianych szczegółowo, wyjętych zostało zpod tej obrzydłej parody sądu ostatecznego. Trzy miliony ludzi, zapchniętych w lewą stronę doliny Józefata, rzuconych zostało w płomienie! *Ite ad ignem, maledicti.*

Taka rzeź tego narodu wydać się może przechwałką hiszpańską. Jakże jednak nie wierzyć, że była projektowaną naprawdę, jeżeli bez względu na wyroki sądowe idzie się krok w krok za armią kastylską w Niderlandach? Tutaj, żelazo wycinało w pień, zdobyte miasta wyludniały się natychmiast. W Mons najzupełniejsze wymordowanie mieszkańców, rzeź i rabunek w Malines, w którym nie zostawiono gwoźdźcia w ścianie. W Zutphen mieszkańców związanych parami, plecy do pleców, topiono w Yssel, a gdy zabrakło drzew do wieszania, wieszano tuż w pobliskiej okolicy. W Naarden ścigano obywateli po ulicach dzidami, niby byków w cyrku, potem rozbestwiony żołnierz otwierał żyły ranionym i wypijał krew.

W Haarlem pięciu katów z pomocnikami pracuje przez cały tydzień, poczem upadając ze znużenia, wypuszczają trupów z ręki. Szczytem zaś tego steku zbrodni, tej olbrzymiej hekatombi, było zdobycie Antwerpui, tak potworne i wściekłe, że historia nazywała je długo: „wielką feryą hiszpańską.” Potrzeba sobie wyobrazić miasto zapalone na wszystkich rogach, w którym banda zbójców męczyła kobiety, torturowała pojedynczo i każdego z osobna przez całe trzy dni i trzy noce. Wyniosła ona ztamtąd 20 milionów, wyciśniętych z ośmiu tysięcy trupów.

Co jeszcze okropniejszym czyni srogość Hiszpanii w Niderlandach to obłuda. Inkwizytor schyłony nad skazanym, którego pieczono lub polewano gorącym olejem, zadawał mu pytania sądowym tonem dobrotliwym! *Benigniter interrogatus*—tak brzmi formuła w aktach sądowych,

Taksamo Filip II przedstawia się w depeszach jako wstręt czujący do krwi i powolny w gniewie. Dekreta jego katów zowią go „księciem nader miłosiernym.” Vargas wyrzucał mu nawet zbytnią łaskawość i pobłażliwość. Proklamacya wystylizowana stylem straszno-śmiesznym, a ogłoszona po zdobyciu Haarlemu, maluje króla mordercę jako dobrego ojca, otwierającego ramiona dzieciom marnotrawnym: „Jego Królewska Mość obiecuje wam raz jeszcze, że, w wylewie swej królewskiej dobroci, przebaczy wam i zapomni wasze błędy, choćby i najcięższe, byleście tylko żalowali i powrócili, póki czas, w jego ramiona. Pomimo wielkiej liczby waszych zbrodni, Jego K. M. usiłuje ciągle sprowadzić was pod swoje ojcowskie skrzydła, tak jak kura sprowadza pisklęta swoje.” Ale o trzy wiersze dalej macierzyńska kura przybiera znów szpony, wrzask i dzikość sępa. „Jeżeli wzgardzicie tem ofiarowaniem wam przebaczeniem, ostrzegamy was, że niema dosyć okrucieństw, które na was spadną, a możecie być pewni, że działać się będzie z taką surowością zapomocą żelaza, głodu i zniszczenia, dopóki nie zniknie tu nawet i ślad z tego, co teraz istnieje. *Jego Król. Mość zrówna z ziemią i wyludni do szczętu cały kraj*, który w ten sposób zaludniony nanowo zostanie przez cudzoziemców.”

Książę Alby wpośród olbrzymich piramid tych trupów, pod ulewnym deszczem krwi, wylanym przezeń, pozostaje aż do końca niewzruszonym i spokojnym. Krokiem kamiennego kommandora postępuje po zbrodniczej ścieżce. Ze zbrodni w zbrodnię dochodzi wreszcie do nadludzkiej osobliwości. Po mordach i rzeziach w Naarden, pisze do Filipa z pewnością, że ani jeden syn matce swej żyw nie pozostał.

— Jeżeli zdobędę Akmaar — pisze w innym liście — postanowilem nie pozostawić ani jednej istoty przy życiu, każde gardło posłuży za pochwę dla noża.”

Jednym z ostatnich jego czynów bohaterskich było upieczenie w Amsterdamie przy ognisku, więźnia skutego w kajdany, i wygrzewanie się spokojne przy tej kuchni ludzkiej. Zanim opuścił Niderlandy, chwalił się na jednym bankiecie, że wyexpedował ręką kata przeszło 18,800 ludzi, nie licząc niedającej się skreślić liczby tych, którzy poginęli w swych domach lub na polach bitwy.

Krajowi, z którego zrobił cmentarz, zapisał posąg pogrzebowy, swój własny. Ten kolos bronzowy wzniesiony w Cytadeli Antwepskiej, deptał nogami postać dwugłową, przedstawiającą Belgią i Niderlandy.

Książę Alby był jednym z tych ludzi, dla których umarli nie powracają, a jednak, jeśli wierzyć Brantômowi, widma flandryjskie wybrały się w podróż do Hiszpanii, ażeby go nawiedzać w ostatnich dniach życia. „Słyszałem—powiada—od księdza hiszpańskiego, że ten xiążę wielki, zanim umarł, czuł się dotknięty w swem sumieniu za wszystkie okrucieństwa poczynione w Niderlandach, że się z nich spowiadał i bardzo obawiał o swą duszę. Co gdy doniesiono królowi Hiszpanii, ten kazał mu powiedzieć na wielką pociechę, że co się tyczy tych, których wyprawił mieczem sprawiedliwości, niech się nie niepokoi, bo on ich bierze wszystkich na siebie i na swą duszę, lecz co się tyczy tych, których wyprawił mieczem wojny, za tych tylko odpowie własną osobą. Boć przecie wie on dobrze, że jeden i drugi zrobili za dużo, mógł więc dyabeł jaki wyrządzić im cichaczem figla. Tak przeto jeden zwalając z siebie winy na drugiego, myślał, że w ten sposób łatwiej zbawienie otrzyma.”

Tragikomiczne widowisko: stary król i stary jego kat przed wybraniem się na tamten świat, regulujący według formy: *credit i debet* swe rachunki z trupami, i likwidujący w taki sposób krew przelaną!

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Z kroniki najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

(Dokończenie)

Bryant rozwiązał dwa ważne zadania: oswobodził w hutach żelaznych metal od żuzli, a zarazem zużytkował je przedziwnie, tworząc doskonały bruk na chodniki i ulice.

Nowa ta materya składa się z mieszaniny żuzli wysokich pieców i z tłuczonego granitu; podaje się ją osuszeniu po odbyciu następnego procesu chemicznego.

Mieszaninę ngniata się z Cementem Portlandzkim, i gdy zjednoczenie się zupełne trzech materyi składowych, to jest żuzli, granitu i cementu, nastąpi, tworzy się z nich ciasto za dodaniem roztworu alkalicznego. Gdy masa nabędzie w pewnym stopniu spójności, wylewa się ją na chodniki i ulice, rozprowadzając jednostajnie wałkami.

Bruk taki tężeje bardzo szybko i po upływie dwunastu godzin od pokrycia już może służyć przechodniom, co stanowi niemalą korzyść dla dzielnic miasta, w których ruch jest bardziej ożywionym.

Pokład mieszaniny jest wielce wytrzymałym i może znosić największe ciśnienie bez uszkodzenia.

Brukowanie tą masą kamiennie-metaliczną, odbywa się bardzo szybko; powierzchnia jej nie jest śliską, a temsamem ma nieporównaną wyższość nad asfaltem. Chropowatość powierzchni tego bruku pochodzi z twardości zeszlonych cząstek żuzli wysokich pieców, które to cząstki wydobywają się na powierzchnię w większej ilości od innych składników masy. Wreszcie, bruk ten nie kaleczy nóg końskich, co jest bardzo ważnym jego przymiotem; po odbytych też doświadczeniach uznany został przez specjalistów za najpraktyczniejszy.

Okazuje się, że wyrażenie o majątkach straconych „*Fortuna poszła z dymem*” jest całkiem fałszywe, gdyż obecnie Amerykanie z dymu otrzymują dolary, robią majątki.

W wielkich węglarniach w Elph-Rapids, w których otrzymuje się dziennie pięćdziesiąt beczek węgla, cały dym posługuje do wyrobu produktów chemicznych.

W tym celu dym wywiązujący się z 25-ciu pieców, przechodzi przez rurę drewnianą do sąsiedniego wentylatora, który go wpędza do zbiornika gdzie następuje jego zgęszczenie i oczyszczenie dymu.

W ten sposób otrzymuje się alkohol metylowy, smołę, gaz oświetlający, a głównie ocet drzewny (pyroxylicum acidum) służący do wytwarzania octanu wapna.

Ilość dymu przerabianego dziennie w zakładzie amerykańskim dochodzi 80.000 metrów sześciennych, z której to ilości otrzymują 5,411 kilogramów octanu wapna, 908 litrów alkoholu metylowego i 113 kilogramów smoły. Zyski ze sprzedaży tych produktów pochodzące pokrywają wszystkie koszty ponoszone na manipulacją w zakładzie.

Przemysł rasy anglosaxońskiej jest isticie zdumiewającym; — jeden też z myślicieli Albionu w broszurze, jaką niedawno wydał, dowodzi na podstawie przedsiębiorczości, energii i pracy, ja-

ką odznaczają się Amerykanie i Chińczycy, że w odległej przyszłości rasy te będą wyłącznie panować nad światem.

Powszechnem było mniemanie, że grunt na którym uprawiają się buraki, wyczerpuje się, co zwykle widocznem jest w końcu Lipca. Liście wówczas żółkną, więdną i zamierają, młode tylko listki wzrastają, lecz nie dosięgają nigdy wielkości normalnej. Gdy chorobliwość ta zwiększa się, korzeń buraczany staje się miękkim, następnie czernieje i ulega rozkładowi.

Według opinii botanika niemieckiego, Juliusza Kuehn'a, choroba ta nie pochodzi bynajmniej z wyczerpania się gruntu, lecz z zaległych na korzonkach rośliny małych robaczek, jakie Schlacht wykrył już w r. 1859 na burakach schorżonych. Pasożytom tym nadano nazwę *Heterodora Schlachtii*; nie należy ich jednak mieszać z węgorkami zbożowymi, cebulowymi, hyacyntowymi, koniczynowymi i t. p. Samiczki heterodory, zapelnione jajkami, mają kształt cytryn; ukazują się one zrazu w postaci małych punktów białych, widzialnych gołym okiem na powierzchni włókien korzeni buraczanych.

Kuehn próbował zniszczyć te pasożyty rozmaitemi środkami, nie pozyskał wszakże żadnego pomyslnego rezultatu, co go skłoniło do przyjęcia całkiem innej metody. Ponieważ przekonał się z obserwacji, że heterodora napastuje również korzenie i innych roślin, a w szczególności krzyżowych (Cruciferae), użył więc kapusty i rzepey za pułapkę do wyłapania pasożytów.

Na gruncie przez nie opanowanym Kuehn siał kapustę na początku Kwietnia, częściowo, w odstępach osmiodniowych czasu. Po upływie pięciu tygodni powyrwał kapustę, której korzenie obsiadły owady i te zniszczył. Następnie poraz drugi i trzeci zasiewał kapustę w lecie i tępił za każdym razem mnóstwo heterodory. Kuehn zapewnia, że ten środek jest najskuteczniejszym, i że przy zastosowaniu go buraki nie wyczerpują gruntu.

Drzewo gutaperkowe (*Isonandra gutta*) należące do rodziny Sapotaceae, krzewiące się w Indiach Wschodnich znika z powierzchni ziemi. Z tego powodu, Heckel poszukiwał w tej rodzinie krzewu wydającego podobną żywicę, która mogła zastąpić wyczerpującą się coraz więcej produkcją gutaperki, i wykrył w końcu drzewo *Butyrospermum Parbilii*. Krzewi się ono do zbytku w całej strefie równikowej afrykańskiej, pomiędzy wyższym Senegalem a Nilem, i tworzy wspaniałe lasy na rozległej przestrzeni Nigru i okolic Nilu.

Drzewo to, będące przedmiotem przesądnej czci krajowców, zwane *Karite* lub *Kare*, wzrasta na gruntach glino-krzemionkowych, żelazistych i kamienistych w Bambarras, Bure, Futa-dżalon i t. p. Krajowcy użytkują z jego nasion, wydających tłuszcz niezbyt przyjemny dla podniebienia Europejczyków, lecz natomiast poszukiwany przez Murzynów, w języku których nosi on nazwę *Masta z Galam*. Na gruntach odpowiednich drzewo to krzewi się szybko; czteroletnie płonki już produkują w obfitości ten olej. Łodyga i gałęzie tej rośliny opatrzone są czterema lub pięcioma kręgami naczyń tłuszczodajnych, rozgałęzionych w miększu (parenchyma) korowym. Tłuszcz wyptywający z łodyg i gałęzi po nacięciu ostrem narzędziem gęstnieje wskutek parowania wody i posiada całą zewnętrzną i własności gutaperki.

Heckel rozkrzewił to cenne drzewo we wszystkich posiadłościach francuzkich, w Réunion, Sai-

gon, a nawet na wyspie Św. Maurycego, i spodziewa się że Anglia, której ofiarował nasiona, postara się uprawiać ten krzew w swych koloniach zwrotnikowych.

Dzienniki niemieckie naukowe donoszą o odkryciu ciekawego okazu flory, a mianowicie rośliny posiadającej w wysokim stopniu własności magnetyczne.

Należy ona do rodziny Alkiermesowatych (*Schytolaccaceae*) i nosić będzie nazwę botaniczną *Alkiermesu elektrycznego* (*Schytolacca electrica*) lub *Szkarłatki elektrycznej*. Po złamaniu łodygi tej rośliny otrzymujemy uderzenie w rękę, podobne wstrząśnieniu, jakie odbieramy z przewodnika małej cewki indukcyjnej. W odległości sześciu metrów od rośliny, igielka magnesowa zbacza a przejawia żywe ruchy będąc w bliskości szkarłatki. Siła prądu elektrycznego zmienna jest odpowiednio do pory dnia; około drugiej godziny popołudniu elektryczność oddziaływa najsilniej, a zachowuje się zupełnie obojętnie podczas nocy; zwiększa się też w czasie burzy, gdy zaś deszcz pada, roślina wydaje się zwiedniała.

Żaden ptak, ani owad nie spoczywa nigdy na łodydze szkarłatki; grunt, na którym się ona krzewi, nie zawiera żadnego śladu metali magnetycznych, jak żelaza, kobaltu lub niklu; elektryczność więc jest jej cechą właściwą niezależną od warunków miejscowych.

Botanicy zamierzają zbadać ustrój anatomiczny tej osobliwszej rośliny.

W łożysku Rodanu znaleziono olbrzymi dąb kopalny, który tam spoczywał od wielu tysięcy lat.

Długość tego kolosu dochodzi 35 metrów (przeszło 121 stóp pols.) waży on 55,000 kilogramów; czarnym jest, jak heban, a twardym jak żelazo. Zbytecznym byłoby nadmieniac, że nie ma kory ani liści. Obliczono, że przynajmniej od trzech tysięcy lat dąb ten pozostaje w łożysku rzeki.

Obok tego kopalnego nieboszczyka wymienił winniśmy i kolosalne drzewa, z których kilka dotąd vegetuje. Do takich zaliczamy: dąb Allouville w konarach którego mieści się kaplica — kasztan Etny, mogący dać schronienie trzydziestu jeźdcom; drzewo Augusta, w wydrążeniu którego Kaligula ugaszczal czterdziestu współbiesiadników; platan Xerxesa, pod którym ten mocarz spoczywał wraz ze stu swymi wojownikami, i platan na Cos, z trzonem mającym trzydzieści stóp obwodu; gałęzie tego drzewa opierały się ongi na kolumnach marmurowych. Wreszcie na cmentarzu w Haie de Routol, w Normandyi, istnieje dotąd olbrzymi cis, który obejmował niegdyś swemi konarami cały cmentarz. Liczy on 1800 lat życia i jeszcze ciągle rośnie.

W. Niewiadomski.

Sprostowanie.

W Nr 31 „Bluszczu” na kolumnie 247-iej nazwiska trzech celujących uczennic koszykarstwa, czytać należy: „Bierczyńska, Ziembowska, Wiśniewska”.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencyą Marryat.

TREŚĆ. Pogawędka. — Legia honorowa kobiet francuzkich, (dokończenie). — **Boży gniew**, powieść (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Karta z pamiętników poety, (dokończenie), przez Szczęsną. — Dawni i nowocześni, przez Pawła de St. Victor. — **Z działu przyrody**, (dokończenie), przez W. Niewiadomskiego.

Dodatek obejmuje: Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencyą Marryat. — 34 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycyą stołu.**